

Przegląd

NUMER 14
T O M I
R O K 21



WARSZAWA, 1 GRUDNIA 1936 ROKU
TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



Pięknie o każdej porze,
Cudnie o każdym czasie,
Marzy nad ciemnym Bugiem
Podlasie.

Latem barwi się żytem,
Pszenicą, lnem, tatarką,
Lasów poszumem wita —
Pogwarką.

Pod jesień się czerwieni
Jarzębiną i bukiem,
Fala Bugu się mieni
Tęcz łukiem.

Na drogach zaniedbanych
Pochylają się krzyże;
Tamte patrzą wysoko,
Te niżej.

Po miasteczkach — kościoły,
O kościołach legendy,
Jak tatarskie zagony
Szły tędy.

Jak szli Szwedzi, Moskale,
O powstaniach, o wojnach,
O dawnej mówi chwale
Ziemia spokojna.

Stary zamek na wzgórzu,
Kościoły półzwalone,
Brzeg w Bugu się zanurza
Obrotny.

I szumi tak Podlasie —
Las, i pole, i rzeka.
A baśń o dawnym czasie
Ucieka.

Juliusz Wirski

WIERCIPIĘTA PROFESOR I PLACEK

ROZDZIAŁ VIII.

O samochodzie w oranżerii.

Z Krzemieńca do Dubna, z Dubna do Równego, a z Równego do Łucka podreptali chłopcy pieszo, ale za Łuckiem siły zaczęły ich opuszczać.

Naturalnie nie przyznawali się do tego jeden przed drugim. Zerkali tylko na siebie spod oka, który pierwszy powie, że już nie ma sił. Paweł i Jacek byli nawet trochę źli na Karola, że nie ustaje w marszu, bo przecie taki chudziak powinien pierwszy zacząć narze-

kać. Nawet by go to nie skompromitowało. Ale Karol już nabrał trochę sił i dzielności w tej wędrówce: szedł z zaciśniętymi zębami i wcale nie myślał przyznawać się do zmęczenia.

Na którymś tam kilometry zobaczyli ciężarowe auto wojskowe i dwóch żołnierzy kręcących się przy nim.

— Popatrzymy sobie, jak naprawiają auto — chytrze zaproponował „Wiercpięta”.

— Doskonale! Świetnie! — zgodzili się Jacek i Karol.



Z PODLASIA

Wszyscy trzej usiedli natychmiast na brzegu wózka i odsapnęli z zadowoleniem. Co prawda siedzieć było chłodniej niż iść, ale wypoczynek też coś był wart.

Po pewnym czasie starszy z żołnierzy wyprostował się i powiedział:

— Na nie! W tym miejscu trzeba by złutować, a nie mamy do tego przyborów.

„Wiercipięta” od razu poderwał się z miejsca:

— Proszę panów, ja złutuję. Mam wszystko, co potrzeba.

— Ty? Patrzcie-no państwo!... — zaśmiał się młodszy żołnierz.

— Wal! Tylko, żebyś potem zanadto słonej ceny nie zaśpiewał!

— Koszt tej naprawy wyniesie... — zastanawiał się niby Paweł — wyniesie... przejazd trzech osób z bagażem.

— W takim razie podwieziemy was do Białej Podlaskiej, gdzie stoimy z samolotami.

— Doskonale!

— No, a teraz, kiedy cena jest umówiona — niech pan majster bierze się do roboty! — roześmiał się młodszy. — Tylko robota musi być solidna!

Robota była solidna i trzej włóczyki z przyjemnością wdrapali się na wielką platformę auta.

Jak to było przyjemnie mijać w szyb-

kim pędzie słupy kilometrowe, które przedtem ani rusz nie chciały się pokazywać! Pozostawały w tyle nawet wozy, na które przedtem patrzyło się tak łakomie. Ani się opatrzyli, jak byli już w Kowlu, potem w Brześciu, a wreszcie w Białej.

— W mieście nie ma co siedzieć: tu najtrudniej o zarobek — oświadczył „Placek”. — Musimy jak najprędzej dostać się na wieś.

„Rabin” i „Wiercipięta” przyznali mu słusność. Wydobyli wszystkie cieplejsze rzeczy, jakie tylko zabrali, bo w polu mróz zaczynał już na dobre przejmować, i ruszyli szosą na Łuków.

— To już Podlasie — uczonym głosem przypomniał Karol. — Podczas, gdy Polesie jest bagniste, nizinne i leży w dorzeczu Prypeci, — Podlasie jest wyżynne i rozdziela właśnie nizinę poleską od mazowieckiej, a leży nad Bugiem.

— Niech sobie leży — zgodził się obojętnie Jacek — abyśmy tylko trafili na zamożną wieś, to może sobie leżeć nawet nad Pilicą.

— Pilica na Podlasiu! — jęknął Karol i machnął ręką.

Tymczasem jednak trzeba było się wlec pustą szosą i dobrze wciągać nogi, aby przed nocą trafić do jakiegoś ludzkiego osiedla.

— Żeby to mieć samochód! — west-



DROGA NA PODLASIU

— Chnął Paweł. — Co to za wspaniałe wynalazki!... Każda śrubka, każde kółko ma swoje przeznaczenie, a wszystko razem pędzi taki ogromny wóz... Wiecie chłopcy, że czasami praca ludzka wygląda jak cud. Naturalnie tylko w technice.

— Czemu tylko w technice? Także coś! — wyduł wargi Jacek. — Rzucisz ziarno, a ono sobie dalej samo rośnie i daje smaczne owoce, a wcale ciebie już nie potrzebuje. Gdzież tu człowiek może okazać genialność?!

— No, choćby przez to, że te a te dzikie rośliny wybrał i zaczął uprawiać. Że używa nawozów sztucznych, że poznał różne szkodniki, że ulepsza gatunki, że nawadnia albo odwadnia grunty, a nawet stwarza nowe gatunki roślin...

— Nowych gatunków nie można „stworzyć” — przerwał Paweł. — Mogą się zdarzyć różne odmiany, ale to nie jest zasługa człowieka.

— Właśnie, że jest!

— Właśnie, że nie!

— No, to zapytamy kogoś, kto się na tym zna.

— Zapytamy!

Jacek i Paweł nastroszyli się trochę na siebie i przestali rozmawiać. Karol chciał jakoś przerwać to przykre milczenie, ale nie wiedział z jakiej beczki zacząć. Wreszcie obejrzawszy się powiedział:

— Jakieś auto jedzie za nami.

Zeszli na bok i przyglądali się małemu, eleganckiemu samochodowi, który zbliżał się szybko.

— Coś on nierówno prowadzi — mruknął Paweł z miną znawcy i dodał:

— Z osiemdziesiąt kilometrów na godzinę wali! Będzie za godzinę tam, gdzie my za dwa dni się nie dowleczymy.

— Albo w rowie! — mruknął Jacek.

— No, jest nareszcie wieś! — zawołał Karol.

Wieś leżała z obu stron drogi, wychodzącej na szosę, a u samego zbiegu dwóch dróg, tuż przy szosie, widać było budynek z całą ścianą oszkloną i z wielkim napisem: „Kwiaty, owoce, jarzyny, nasiona, sadzonki — W. Rogowski”. Obok były długie, na wpół w ziemię wkopane budyneczki ze szklanym dachem, a dopiero w głębi stał dom mieszkalny i zabudowania gospodarskie.

— Niby ogrodnik — mruczał Paweł — ale coś za bogato wygląda...

— W każdym razie warto spróbować — powiedział Jacek i wszyscy trzej weszli na podwórze.

Naprzeciw nich wyszedł rosły mężczyzna w krótkiej kurcie, miękkiej czapce i z fajką w zębach. Minę miał wcale nieuprzejmą i od razu od ganku zaczął wołać:

— Znowu po prośbie? Opędzić się od tych żebraków i włóczęgów nie można!

— Bardzo przepraszam! — wyprostował się dumnie „Wiercipięta”. — Jałmużny nie tylko nie prosimy, ale nawet nie przyjąlibyśmy. Zarabiamy uczciwą i solidną pracą.

Człowiek w kurcie przerzucił fajkę z jednego kąta ust w drugi i powiedział ze śmiechem:

— Proszę, zarabiacie pracą? I to



NAD BUGIEM

jeszcze uczoiwą i solidną? Ciekawym, co też wy, bąki, umiecie?

Paweł ani się uśmiechnął.

— Ostrzemy noże, wstawiamy szyby, kleimy i lutujemy — odpowiedział zimno.

— Hm, zobaczymy zatem — mruknął ogrodnik. Wrócił za chwilę i wyniósł trzy pary noży ogrodowych różnej wielkości. Chłopcy byli podrażnieni jego niedowierzaniem w solidność ich pracy, to też wzięli się do roboty z uwagą.



BURZA



JESIENNE OBŁOKI

Ostrzenie noży przeszło chłopcom jak z płatka, dopiero przy krzywym nożu ogrodniczym Paweł musiał wysadzić język i przesuwając go w jedną i drugą stronę. Ale ostatecznie okazało się, że i to nie jest znowu żadna taka mądrość.

Ogrodnik przyglądał się chłopcom uważnie podczas roboty, potem obejrzał naostrzone narzędzia, a wreszcie podał poważnie rękę Pawłowi i przedstawił się, jak równemu sobie:

— Jestem Rogowski. Paweł bardzo się zaczerwienił, ale także podał mu rękę i powiedział:

— Wierciński.

— Bardzo was przepraszam, chłopcy, za moje podejrzenia — mówił dalej pan Rogowski. Wasza robota jest naprawdę solidna. Ja byłem kilka lat w Ameryce i tam dopiero zrozumiałem, co to znaczy praca. Kiedy wróciłem ze swojej zagrody tymi dzie-

sięcioma palcami zrobiłem to, co widzicie!...

Tu pan Rogowski trochę się nadął i pokazał ręką dokoła.

— Pan podróżował po Ameryce? — zapalił się Paweł.

— E, gdzie tam „podróżowałem”! — machnął ręką pan Rogowski. — Po prostu szukałem roboty. A potem przekonałem się, że jeśli będę tak pracował w Polsce, jak pracowałem w Ameryce — to i tu dorobię się majątku. Może nawet prędeziej... Jedno tylko przyjemniejsze jest w Ameryce niż w Polsce: tam wszyscy szanują pracę człowieka, cokolwiek by robił. A u nas? Chłopak, który skończył parę klas, już wstydzi się wziąć do ręki łopatę albo stanąć za ladą sklepową. I inni też patrzą na niego z góry. A tam człowiek z dyplomem uniwersyteckim staje do pracy obok robotnika i nikt się nie dziwi ani nie wstydzi. Tam się szanuje człowieka tylko wedle jego pracy!

— To dlatego pan się nam przedstawił, jak dorosłym? — powiedział w zamyśleniu Paweł.

— A dlatego. Ja, widzicie, skończyłem gimnazjum i szkołę ogrodniczą, a pracuję sam w ziemi i dumny jestem z tego, że znam swoją robotę. Wyhodowałem nawet kilka nowych zupełnie odmian.

— Widzisz? — trącił Pawła Jacek.

— A niektórzy z moich krewnych, z zaścianka... Bo my tu jesteśmy z dawnej szlachty i wszyscy w całym zaścianku nosimy nazwisko Rogowscy i jesteśmy krewni... Otóż wielu moich krewnych ma mi za złe, że nie poszedłem „do urzędu”. Gdybym był najmniejszym pisarczykiem w „urzędzie”, byliby z tego bardziej zadowoleni, niż z tego, że jestem panem u siebie i rozszerzam wśród nich kulturę ogrodniczą. Et! — machnął ręką pan Rogowski i urwał.

Po chwili dopiero dorzucił:

— Boli mnie to, więc rozgadałem się o tym za dużo, a wy pewnie głodni, co?

— Nie... — słabo zaprzeczył Paweł.

— Owszem! Dosyć! — głośno oświadczył Jacek.

Już zawracali w kierunku domu, gdy Karol trącił Pawła:



KRAJOBRAZ LESNY

— Patrz, wraca to czerwone auto.

Auto szło jeszcze bardziej zygzakowało niż przedtem i, zanim się opatrzyli, zboczyło z szosy wbijając się całym pędem w oszklony front oranżerii pana Rogowskiego. Rozległ się brzęk szyb, trzask ram i głośny krzyk z samochodu.

Potem znowu zawarczał motor i auto, któremu dziwnym trafem nie się nie stało, zaczęło się cofać tyłem zamierzając widać uciec. Ale pan Rogowski już był przy nim:

— Hola, mój panie! — zawołał. — Potłukł mi pan szyby!

— Wielkie rzeczy! — odezwał się młody elegant wychodząc z auta. — Poprawiasz pan sobie i nie będzie śladu. Będziesz pan miał zajęcie.

— Owszem, poprawiam sobie, ale pan przedtem zapłacisz za szkodę.

— Phi, stać mnie na to! — wzruszył pogardliwie elegant ramionami.

— Akurat mam tu szkлярzy, którzy mogą tę pracę wykonać — mówił dalej spokojnie pan Rogowski, chociaż fajka podskakiwała mu podejrzanie w zębach. — Zapłać więc pan im, ile się będzie należało.

— Hej, wy tam! Macie i nie nudźcie mnie już! — krzyknął młodzieniec i rzucił pieniądz na ziemię.

Paweł przyjrzał się monecie, ale nie schylił się po nią. Przeciwnie wyprostował się i powiedział:

— Przede wszystkim nie podnosimy pieniędzy z ziemi, bo zarobek to nie jałmużna ani kość dla psa. A po drugie nie jest pan zbyt hojny: rzucił pan pięć złotych, a te szyby będą kosztowały ze dwadzieścia nie licząc roboty. Razem ta praca jest warta trzydzieści złotych.

Fajka w zębach pana Rogowskiego latała tak energicznie w ustach, że automobilista zmienił ton i spytał o wiele grzeczniej:

— Więc ile się należy?

— Słyszał pan: trzydzieści złotych za wstawienie szyb, a za nieostrożną jazdę zapłaci pan drugie trzydzieści, które tu, przy panu, wrzucimy do puszek na bezrobotnych. To znaczy na tych biedaków, którzy nie mają szczęścia i zaszczytu brać udziału w ogólnej pracy.

Niefortunny szofer wyjął portfel i zapłacił żadaną sumę, a pan Rogowski połowę dał zaraz chłopcom, a połowę wrzucił do puszek, którą przyniósł z domu.

Auto ostrożnie wyjechało na szosę i oddaliło się powoli.

d. c. n.

Jerzy Ostrowski

WIEŚ NOCĄ

Usnęła w zorzy letniego wieczoru
ojejzista wieś —
nigdzie nie gada już żuraw u studni,
nie dzwoni pieśń;
zgasły maleńkie szyby okienek,
czai się noc,
tylko gwiazd szlaki bieg ziemi znaczą
i Bożą moc.
Z barwnych ogródków chłopskich i pól
idzie wsią woń; [chlebnych
nad nurtem rzeki brzozy płaczące
chłodzą swą skroń.

Czasami w gniazdku zakwili ptaszę
wśród słodkich snów
lub w gęstwie lasu ozwie się sowa
lećąc na łów.
W sadzie gdzieś głucho dojrzały owoc
na trawę padł,
i zapiał kogut — na swym zegarze,
że północ — zgałł.
I znowu cisza... i tylko rosy
padają lży...
by w rannym słońcu ustroić wioskę
w brylantów skry.

Wikt. Dalewska



„ZWYKŁA” BAWELNA

Wracając z fabryki Anka zatrzymała się przed wystawą. W jasnym świetle żarówek barwiły się za szybą materiały. Mieniły się wszystkimi kolorami. Były gładkie, i w kwiaty, groszki, prążki, we wszelkie możliwe desenie.

Tuż koło Anki przystanęły dwie dziewczynki.

— Które ci się najbardziej podoba?

— Czy ja wiem... To w groszki ładne... O, tamto w te czerwone maki, popatrz!

— I... To przecież zwykła bawełna — skrzywiła się druga dziewczynka.

Anka odeszła. Ale usłyszane słowa dźwięczały jej długo w uszach. A szczególnie żywo przypominały się na drugi dzień, kiedy znów weszła za wysoki fabryczny mur i stanęła do codziennej pracy.

— Zwyczajna bawełna — powiedziała tamta dziewczynka — i napewno nie miała pojęcia o tym, co to znaczy zwyczajna bawełna. Tak, jak nie miała pojęcia i Anka — nawet wtedy, kiedy matka opowiadała, jak to jest w fabryce. Dopiero na własne oczy trzeba się było przekonać o tym, co to jest ta bawełna.

Anka raz była w kinie. I akurat zdarzyło się, że wyświetlano film o Murzynach. Z ekranu, z migających na nim szybko obrazów dowiedziała się Anka, jak na polach rosną bawełniane krzaki, jak z dojrziałych, brunatnych owoców wysypuje się biała, bawełniana wata. W wielkie kosze zbierają ją Murzyni — mężczyźni, kobiety i dzieci. Widać było, jak tam musi być gorąco — ekran płonął słonecznym blaskiem, na niebie nie było ani jednej chmurki. Pod tym upalnym niebem, pod żarzącymi promieniami słońca Murzyni zbierali bawełnę, a pot kapał im z czoł. A potem robotnicy pakowali bawełnę w wielkie paki —

i wiozły ją okręty daleko, w świat. Z okrętów robotnicy portowi przeładowywali ciężkie beły do pociągów — i bawełna wędrowała w świat. Aż wreszcie wysoko naładowane auto ciężarowe zajeżdżało pod bramę fabryki — i tu już nie trzeba było kina ani ekranu — Anka wiedziała, co się z bawełną dalej dzieje.

Bawełnianą, miękką watę skubały pospiesznie ręce dziewcząt, rozczesywały ją przemyślnie maszyny, aż wreszcie mechaniczne wrzeciona, które obsługiwała Anka, ciągnęły z niej długą, długą, tak często rwącą się nić. Nawijała się nić na furzące szpule, żeby potem powędrować do tkalni. Tam łomotały ramy warsztatów, nad którymi przez osiem godzin schylali się mężczyźni i kobiety. Z tkalni szły gotowe zwoje materiału do farbiarni, do salki o cementowej podłodze, gdzie wrzała w kotłach farba i gęsta mgła pary zasłaniała wszystko. Potem jeszcze suszarnia — potem pakownia, i dopiero wtedy „zwyczajna bawełna” wędrowała do sklepów, tam ją ręce sklepowych rozkładały na wystawie, żeby uciła oczy przechodniów swą barwą i połyskiem.

— Heż to ja nitek musiałam związać,



żeby naprędkło się nici na jedną bawełnianą sukienkę? — zastanawiała się Anka i wiedziała, że próżno liczyć — tak często przecież pękały nitki. I ileż razy trzeba się było schylić nad ramą tkackiego warsztatu — i ile wilgoci wdychać w farbiarni, i ile ruchów wykonać w pakowni — żeby wreszcie sztuka materiału była gotowa.

Anka rozprostowała na chwilę plecy i rzuciła okiem na salę. W powietrzu unosił się biały, bawełniany pył. Nie wiele pomagały huczące u sufitu wentylatory — pył był mocniejszy od nich, nie dał się wessać, nie dał się wyrzucić. Wszystko — nawet włosy i twarze robotnic były jakieś wybladłe i szare od tego pyłu, który drażnił oczy i osiadał na płucach.

— Zje cię bawełna — przypomniały się Ance gorzkie słowa jednej ze starszych robotnic. Doprawdy, one wszystkie wyglądały, jakby je zjadała bawełna.

— W każdej nitce tkwi moja robota, odrobinka mojego życia — pomyślała Anka, pospiesznie wiążąc zerwaną nić. — niesprawiedliwe były tamte dziewczęta — przy bawelnie się człowiek napracuje niemniej niż przy jedwabiu!

Przy tych rozmyślaniach osiem godzin upłynęło jakby prędzej niż zwykle. Zaświstała głośno syrena fabryczna.

— Fajerant! — powiedział głośno przechodzący przez salę majster, i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki umilkł od razu turkot i łomot maszyn. W przyszywczajonych do nieustannego hałasu uszach dziwnie dzwięczała cisza — ona właśnie wydawała się czymś głośnym.

Fala ludzi wypłynęła przez wielką fabryczną bramę. Anka pospiesznie skreśliła w swoją stronę, choć ją koleżanki zagadywały, żeby je podprowadziła kawałek. Tak, one sobie może i mogły pospacerować — ale Ance zawsze się spieszyło do domu. Co się dzieje z dziećmi? Czy nie przydarzyło się coś złego? Nigdy nie mogła zapomnieć tej chwili, kiedy dowiedziała się o wypadku z Adasiem.

Ale w domu wszystko było w porządku. Ignasz odrabiał zadanie, Zosia cerowała pończochy, a Adaś bawił się z kot-



kiem-przybędą, który pewnego dnia przyszedł za Zosią z ulicy i osiedlił się na dobre w pokoiku na poddaszu.

— Jedz prędko! — powiedział Adaś.

— Obiecałaś mi przecież jedną rzecz.

— Co za rzecz? — nie mogła sobie przypomnieć Anka.

— Wczoraj mi obiecałaś. Nie, nie wczoraj. Wtedy, kiedy padał deszcz i nie chciałaś mnie puścić na podwórze.

— Aha! Już pamiętam!

— No, widzisz. Ty sama powiedziałaś, że jak się obiecuje, to trzeba dotrzymać.

— Dobrze, dobrze! Tylko o czym ma być ta bajka? — zastanowiła się Anka widząc, jak Adaś aż drepce koło jej krzesła ze zniecierpliwienia.

— Jaka chcesz. Tylko długa, długa jak na sam koniec ulicy!

— Garnki naprawiać! Błaznane pobielać! Gaaarnki pobiela, lutuje, drutuje! — rozległo się nagle z podwórza.

— Ojoj, druciarz! A w tym niebieskim garnku jest dziura! — poskoczyła Zosia ku oknu. I za chwilę na schodach zaczęły ciężkie kroki. Druciarz wziął garnek i chciał wyjść lutować na schody. Ale było zimno, więc Anka zatrzymała go w mieszkaniu. Usiadł na małym

stołeczku przy piecu i zabrał się do roboty. Adaś zapomniał o bajce i przyglądał się ciekawie.

— Wstawi się łatkę i garnek będzie jak nowy — powiedział druciarz.

— A te druty do czego?

— A do drutowania. Jak się gliniasty garnek rozbije — nic z niego. A ja go odrutuję, i jeszcze nowy przetrzyma...

Adaś popatrzył na dziurawe, rozkładane buty druciarza i pomyślał, czy też da się drutować buty. Druciarz dostrzegł spojrzenie chłopca.

— Na buty patrzysz? Ano, butów drutować się nie da. A te się wysłużyły. Kawał drogi przeszły.

— Z daleka?

— Żebyś wiedział. Z daleka — powiedział druciarz, ale nie okazywał chętki do dalszej rozmowy. Wstawił blaszaną łatkę w garnek, wziął zapłatę i poszedł. Po chwili znów było słychać na sąsiednim podwórzu jego nawoływanie:

— Garnki pobiela, lutuje, drutuje!

Teraz Adaś przypomniał sobie o obietnicy siostry.

— Anka, a bajka?

Anka była zmęczona i nie bardzo chciało jej się mówić. Trzeba jednak było jakoś zająć upartego braciszka.

— A oł, widzisz, bajka. Był sobie garnek, zrobili go w fabryce i posłali do sklepu. Stał na blasze, gotowały się w nim ziemniaki i zupa. Aż zrobiła się dziura. Bardzo się martwił garnek, że pójdzie na śmietnik. A tu zjawił się druciarz — i naprawił garnek. I jutro Zosia ugotuje w nim zupy!

— E... to wcale nie bajka! — oburzył się Adaś. — I to wcale nie jest nic ciekawego.

— Nic ciekawego? A żeby nie druciarz, to nie byłoby jutro zupy. Zosiu, co to jutro chcesz gotować?

— Żur... nie, żur był wczoraj. Chyba kapuśniak.

— A widzisz! Kapuśniak, to co ty lubisz! A żeby nie druciarz, toby nie było kapuśniaku!

To się Adasiowi spodobało.

— A żeby nie węglarz, toby nie było węgla! — powiedział.

— Węglarz tylko sprzedaje węgiel. A górnik go kopie w kopalni.

— A kto jest najważniejszy?

— Jakto najważniejszy? — nie rozumiała Anka.

— No, najważniejszy ze wszystkich, z wszystkich robót.

— Wszyscy są ważni — powiedziała wolno Anka. I nagle zupełnie jakoś inaczej spojrzała na ich mały pokóik.

Przygarnęła do siebie brata.

— Popatrz: zdun robił piec. Stolarz krzesła, stół i komodę. Murarz murował, malarz pomalował sufit i ściany, robotnicy w fabryce zrobili lampę, w drukarni drukowano książkę, z której się uczy Ignaś. Pomyśl, ilu ludzi pracowało, żebyśmy tu mogli sobie razem siedzieć przy stole.

— A ja nie pracuję!

— Ty jesteś jeszcze malutki. Jak podrośniesz, będziesz pracował.

— A ty w tej fabryce to właściwie co pracujesz?

— Nie co, tylko jak. Widzisz, ja wiążę nitki. A żeby nie było nitek, nie byłoby materiału. A żeby nie było materiału, w co byśmy się ubierali?

Anka uśmiechnęła się. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że i jej robota przecież jest ważna. Tak ważna, jak każda inna — jak każdy trud, włożony w przedmioty, które nas otaczają, których każdy używa — nieraz nie zdając sobie sprawy, że tkwi w nich cząstka ludzkiego życia, wysiłek, mózół, praca.

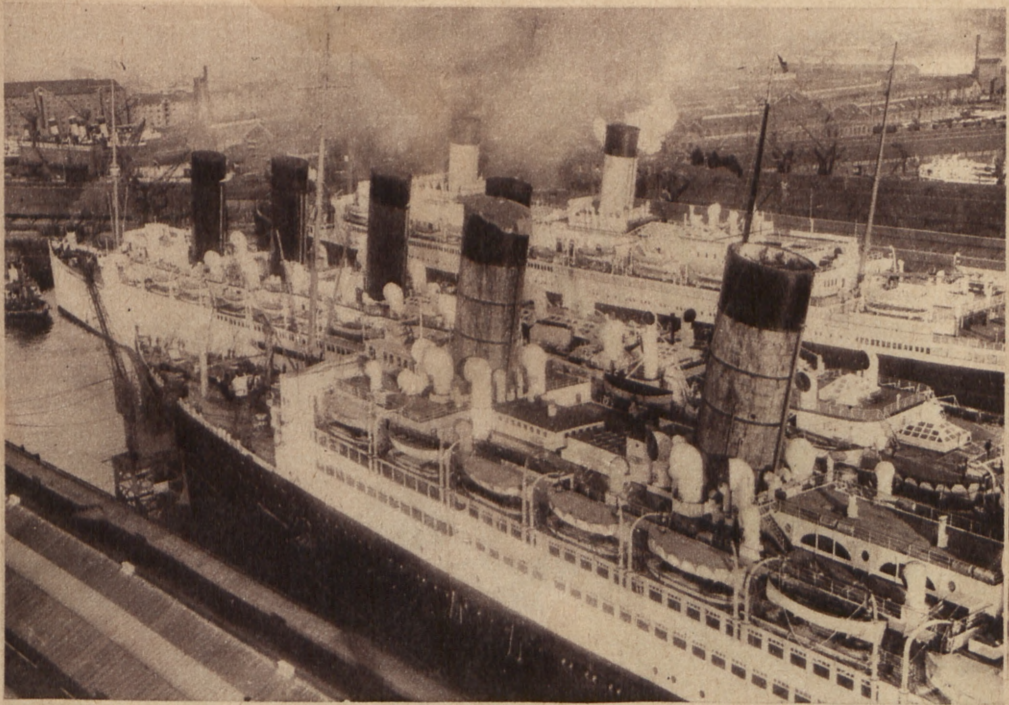
WĘDRÓWKA W ŚWIAT

ROZDZIAŁ VIII.

Przerażony wypadkiem w Kantonie kapitan „Elizy”, mister Jack Bortom, naradziwszy się z panem Hodges i innymi profesorami, aby uniknąć odpowiedzialności za osobę młodego milionera, postanowił nie zatrzymując się nigdzie,

przeciąć Pacyfik i przycumować jacht dopiero w San Francisco. Jimmy w milczeniu przyjął wiadomość o przerwaniu podróży, ale za to jego amerykańscy koledzy wszczęli prawdziwy bunt. Nic to jednak nie pomogło.

Dziesięć dni puła „Eliza” spokojny



PORT W SAN-FRANCISKO

w tym okresie Pacyfik, nie zawsze wszakże usprawiedliwiający swoją pogodną nazwę. O świcie, zatoczywszy szeroki łuk w porcie San-Francisko, stanęła przy dokach Starców. Uprzedzony radiotelegramem pan Reginald Starck oczekiwał przybycia syna na przystani. Wysłuchawszy raportu kapitana, pochwalił jego zarządzenie i dziękował załozce za odparcie napadu piratów.

— Ojcie! — zawołał Jimmy. — Cóż to? Nie podziękowałeś panu Budziszowi, który zawniasu wprowadził mnie z jachtu, i panu Wawrzyńczakowi, chociaż on pierwszy zaalarmował załozę i nawet ucierpiał w mojej obronie.

Mister Starck kiwnął głową i odpowiedział:

— Za taką przysługę nie dziękuję się słowami, synku.

— Tylko dolarami — burknął krzywo patrząc na Wojtka Henry.

Starck zwrócił ku niemu gniewną twarz i zamruczał:

— Ani dolarami, chłopcze, tylko przyjaźnią — czy możesz to zrozumieć?

Wojtek rozmowy tej nie słyszał, bo powitawszy pana Starcka na mostku ka-

pitańskim pomagał oficerowi ułożyć mapy w szafce, doprowadzić do końca dziennik okrętowy i zabezpieczyć instrumenty morskie. Przyglądał się z zachwytem żagłówkom, prującym wodę zatoki.

Po skończonej robocie Wojtek zawołał Wawrzyńczaka i razem zeszli na brzeg.

— No, bracie, jesteśmy w sławnym „Frisko”, o którym tyle powieści napisano, że nikt by wszystkich nie przeczytał! „Frisko” też stało się ulubionym tematem filmów...

— Dlaczegoż to? — spytał Szymek.

— Bo to, widzisz, stosunkowo niedawno jeszcze była to mała miejscina. Koczowali tu Indianie. Podobno pozostało ich zaledwie kilka rodzin. Nagle jacyś włóczędzy odnaleźli w górach okolicznych pokłady złotoносnych piasków, więc kto tylko mógł, pędził do Kalifornii. Tak to powstało San-Francisko i ciągle się rozrasta, bo chociaż złoto dawno już zostało wydobyte, ale zato założono tu plantacje, wspaniałe sady, rozległe, urodzajne pola i pastwiska, fabryki i wkońcu — port — jeden z największych i najlepiej urządzonych



W ZATOCE

w Stanach Zjednoczonych. Właśnie pójdziemy go obejrzyć.

Doszli do dużego okrętu, na który ładowano bele bawełny i kosze z ananasami i bananami.

— Toż to zgnije wszystko! — zawołał Szymek. — Taka spiekota w powietrzu...

— Nic bój się! — uspokoił go kolega. — W głębi okrętu mieści się zapewne lodownia, bo widzę na burcie biały napis — „ice”, co oznacza — lód. Jest to zatem statek — „refrigerator”, czyli — chłodnia...

Ktoś klepnął Wojtka po ramieniu. Chłopak się obejrzał. Za nim stał wysoki człowiek o opalonej twarzy, płowych włosach i jasnych, wesołych oczach.

— Cóż to?! — zawołał. — Nowi rodacy? Kiedyż to przyjechaliście ze „starego kraju”? Jestem Kajetan Lotek, monter z warsztatów kolejowych. Już dziesięć lat minęło, jakem przybył tu z Krosna, wiecie — z Galicji.

Chłopcy wymienili swoje nazwiska i powiedzieli, że są marynarzami z „Elizy”.

— Patrzcie-no! — zdumiał się pan

Kajetan. — To jakbyście wielki los wygrali na loterii! Starck — okrutny milioner, ale, słyszałem, że z kośćcami przeciwy człowiek.

— Wiemy coś o tym — potwierdził Szymek. — Z pensją nam nie zalega.

Z tym to panem Lotkiem chłopcy zwiedzili kąpielową plażę, gdzie stały długie szeregi aut, a potem port, gdyż monter miał wychodny dzień i chętnie im towarzyszył.

Przyjaciele spostrzegli, że w porcie całą robotę wykonywały maszyny. Za ledwie kilkunastu ludzi kierowało nimi. Ze składów położonych daleko od przystani ruchome chodniki, które p. Lotek nazywał „transporterami”, przesuwały do klatek kranów skrzynie z konserwami, bele bawełny, ciężkie kosze, żelazne beczki i inne towary. Jeden człowiek zatrzymywał ruch chodnika i uruchamiał dźwig. Towary opuszczano na pokład lub do ładowni statków, gdzie już marynarze rękami lub za pomocą małych wind okrętowych układali je na wskazanych przez oficerów miejscach. Inne towary dostarczano z kolei w małych wagonikach, które doczepiano do kranów

i przenoszono na statki do wylądowania. Nie było tu żadnego zamieszania, tłoku i zgiełku.

— Dawniej to inaczej było — mówił uśmiechając się pan Kajetan. — Za mojej jeszcze pamięci wszystko to robili ludzie, przeważnie Chińczycy, przybywający tu po pracę i chleb. Pół miliona złotych ludzi mieszkało pod Frisko, bo wybudowało sobie całe miasto podziemne. Gdy zaś urwały się zarobki, ponieważ kopalnie się wyczerpały, w porcie zaś zapanowały maszyny, Chińczycy rozpoczęli proceder zbójcecki. Teraz od dawna wysiedlono stąd złotych kulisów, a kretowisko ich zasypano ziemią i zalano cementem.

Pan Lotek zaprosił chłopców do restauracji na obiad. Chłopcy dowiedzieli się od niego, że w San-Francisko mieszka sporo Polaków, a niektórzy z nich wywalczyli już sobie niezależne stanowisko i szacunek u Amerykanów. Po obiedzie chłopcy zwiedzili warsztaty kolejowe, gdzie pracował miły, rozmowny rodak.

Tu też wszystko było tak obliczone, by zaoszczędzić pracę ludzką, zastępując ją maszyną, pracującą niezrównanie szybciej i systematyczniej. Ludzie tylko kierowali ruchem maszyn i naprawiali je w wypadku, gdy coś się psuło w mechanizmie. Automatyczne liczniki wskazywały ilość wyrobionych przedmiotów, elektryczne sygnały ostrzegały ludzi, gdy

maszyny zaczynały się grzać, nie mając już wody w chłodnicy lub smaru; takie też sygnały uprzedzały palaczy o braku węgla pod kotłami i mechaników — o zbyt wysokim lub niedostatecznym ciśnieniu pary.

Wojtek ze zdziwieniem patrzył, że dyrektor warsztatów i inżynierowie witali każdego robotnika jako równego sobie potrząsając im ręce i zamieniając kilka słów uprzejmych. Dopiero z biegiem czasu zrozumiał, że inaczej być nie mogło, gdyż w obliczu potężnego splotu mechanizmów, jakim jest fabryka współczesna, każdy człowiek na swoim posterunku jest niezbędny i równy innym, gdyż od niego zależy sprawność całej fabryki.

Podobny system pracy wyrabiał fachowców o niezmiernie nieraz wąskim zakresie czynności, ale zato ścisłych, jak kierowane przez nich maszyny i, jak one, dokładnych w każdym ruchu.

Objasniając to nowym znajomym pan Kajetan marszczył się i sapał.

— Prawdę powiedziawszy nie podobna mi się taka praca i już nigdy zapewne nie będę miał dla niej serca — mruknął.

— Dlaczegoż to? — spytali naraz chłopcy.

— Bo to, widzicie — człowiek staje się sam maszyną! O niczem już nie myśli podczas pracy, tylko robi jedno i to samo, z największą szybkością, nie pozwalając sobie na jakiś odmienny ruch



PLAŻA KĄPIELOWA W SAN-FRANCISKO



INDIANKA KALIFORNIJSKA

lub chwyt. U nas, tam w Polsce, dawniej po pracy myślało się, że można było to lub owo zrobić inaczej i lepiej, a tu — schylaj się ino i chwytaj tej lub innej rękojeści lub wentyla maszyny i — tyle...

Westchnął i nachmurzywszy czoło rzucił:

— Co do mnie, to jestem fachowcem od nacinania śrub kalibru 8 mm., bo od 6-milimetrowych jest inny — niemiec Gustaw Breyer, oddawna już obywatel amerykański! Cha, cha! Tak to u nas się pracuje!

— Pff! — parsknął Wawrzyńczak. — To niewesoła praca!

— Płacą za to dobrze! — wtrącił pan Lotek.

— Pieniądz — to jeszcze nie wszystko, co mi do szczęścia potrzeba! — odparł chłopak i potrząsnął głową.

Wojtek milczał przysłuchując się tej rozmowie. Myślał, że doskonala fachowość usprawnia i przyspiesza pracę, ale jednocześnie czuł, że zahamowanie w człowieku pomysowości i twórczości jest czymś zbrodniczym, czymś, co przypominało brutalne pozbawienie wolności. Potem przyszło mu na myśl, że takie wyspecjalizowanie powinno zabić zawiść i zawziętą konkurencję. Byłoby to znów dobre, gdyż podnosiłoby moralność w społeczności robotniczej.

Wojtek postanowił powiedzieć o tym z profesorem Hodges, którego bardzo polubił.

Wieczorem powrócili razem z panem Lotkiem na „Elizę” i oprowadzili go po jachcie pokazawszy piękne jego urządzenie, mesę ozdobioną kobiercami i obrazami, halę maszyn, chłodnię elektryczną i swoją kajutę.

Pan Kajetan zachwycony był i winshawał młodym marynarzom, że dostali się na tak „fajny” okręt.

Gdy wyszli wreszcie na pokład, do Wojtka podbiegł majtek wachtowy i oznajmił mu, że mister Starck dwa razy już przysyłał po niego.

Pożegnawszy pana Kajetana Budzisz minął zabudowania portowe i wyszedł na duży plac, rzęsiście oświetlony elektrycznością. Policjant objaśnił go, jaką drogą ma dojść do domu Starcków.

Wojtek bez trudu odnalazł dom milionera i wkrótce wchodził już do obszernego holu, pełnego kwiatów i miękkich mebli, wyściełanych niebieską skórą. Lokaj pobiegł zameldować go i po chwili na spotkanie Budziszowi, kulejąc i czepiając się poręczy schodów, śpieszył Jimmy wołając:

— Nareszcie! Nareszcie! Byłem bar-

wet wyjął z zamorusanych spodni fabrycznych ja-
kąś kłamrę.

Po chwili już wyciągał Jura drewnianą skrzyn-
kę spod łózka i wysypywał z niej swoje skarby:
jakieś deszczułki, patyczki, gwoździe i sznurki. Maj-
strował, dłuubał, przymierzał i znowu ostrugiwał
i dopasowywał. Robił wiatrak. Musiał go dziś skoń-
czyć, a później umocować na stodole. Tam będzie
terkotał na wietrze.

Ewa z Hanką przyglądały mu się początkowo
— Pokoż to! — prosiły.

Nie zwracał jednak teraz na nie zupełnie uwa-
gi i widziały z jego miny, że go niecierpliwi ich
przyglądanie się. Urażone cofnęły się i odeszły do
swoich lalek, którym szyły sukienki. Siedzieli tak
we trójkę pod piecem i majstrowali pracowicie. Po
pewnym czasie Jurek wykańczał już swój wiatra-
czek, zestrugiwał jeszcze scyzorykiem rozmaite nie-
równości i próbował skrzydeł — obracały się do-
brze.

Zajętemu chłopcu przyglądał się Paweł.

— Dowej pozor, żeby ci sie to nie rozleciało,
zanim doniesiesz na dach — dogadywał pokpiwa-
jąco.

— Traśba! — rzucił mu rozdrażniony Jura.

— Ja teraz traśba, kłuku, ale jak czego potrze-
bujesz, to umiesz pięknie pytać — udawał rozsier-
dzonego tamten.

— Ni, ni, szykowny, roztomily Pawełek! — do-
bruchał go już Jurek.

— Skąd się ci tutaj wzięli? — dziwiono się. —
Bodejby już ci tam Kareł szukoł pomocników?

Nie zwracano na razie uwagi na siebie; czasami
tylko rzucano podejrziwe spojrzenia w stronę wro-
giego obozu. Od czasu do czasu któryś z jednej
lub drugiej strony zbliżał się niby przypadkowo do
potoka i wtenczas penetrował bacznie poczynania
„tamtych”. Nie bawiono się jak zazwyczaj, tylko
jedni i drudzy gromadzili szyszki z lasu i budowali
coś w rodzaju wałów z mchu.

Wśród grupy Jurka uganiał pies Ewy, Bosa,
który naszcze kiwał na pasące się krowy. W pewnej
chwili, nie wiadomo czy zupełnie przypadkowo,
znalazł się po tamtej stronie i hałasliwie zaczął od-
pędzać krowy Kuligów od potoka.

Ci skupili się i zaczęli zbliżać do tamtych.

— Ty, Pająk, bier se swoigo kundla, bo jak ni,
to mu kości porachujemy — krzyknał któryś z nich
i, nie czekając aż Ewa psa zawoła, rzucił za nim
kamieniem.

Pies ze skowytem uciekał do Jewki.

Początek był dany.

Porwali się chłopcy Jurka. Czekali tylko na je-
go pierwszy rzut; był widocznie celny, bo Kareł
złapał się za rękę i zawołał:

— Przydź tu, to sie porachujemy!

Teraz rozpoczęła się już bitwa na dobre. Świ-
stały szyszki, zbliżano się coraz bardziej do potoka.
Z obu stron padały wyzwiska, mieszające się z za-
ciętym ujadaniem Bosego.

Jewka uwiјаła się wśród chłopców i podawała im pociski. Inne dziewczęta skupiły się za wależnymi, wykrzykując w stronę Kuligów ich przewiny. Tamci odkrzykiwali złośliwie:

— Baborz, skryj się za kteraą spodnice, mosz ich tam dość!

Tego już było za wiele Jurowi. Przeskoczył potok i znalazł się po tamtej stronie. Opadł go i zaczęła się prawdziwa bijatyka. Z pomocą doskoczyli mu towarzysze, a za nimi Ewa.

Dziewczęta strwożone już teraz stały koło potoka, tylko Hanka śpieszyła na pomoc Jewce i Jurkowi. Ewa nagle ze skurczoną z bólu twarzą usiadła na ziemi. Dostała kamieniem w kolano. Dopadła do niej przyjaciółka i widząc krew, zaczęła prze-
różliwie pomstować:

— Kamieniami biją! Jurek, nie daruj im tego! A Jurek, któremu przed chwilą ktoś podstawił nogę, podnosił się z ziemi i, ocierając z twarzy pot zniekszany z kurczem, zabierał się na nowo do walki. Wtedy któraś z dziewcząt krzyknęła:

— Uciekać, gojny idzie!

Na dźwięk magicznego słowa puścili się skłębieni zapasnicy i wszyscy zaczęli biec do swoich krów.

Gojny popatrzył na nich tylko z wyrzutem i powiedział:

— Dogodzilście se dzisiaj dobrze, co? — i zawrócił do lasu.

Popatrzyli za nim wściekli, że też musi zawsze

— Jakoż sie mosz na dzisiaj, dzywce? — zagadnął ją Maucra. — Cożście to tam wczora mieli z tymi Kuligami? Opowiedz, bo od tamtych — wskazał oczyma na Hanke i Jurka — człówek sie nieczego nie dowie.

Ewa popatrzyła na niego, a później na swoich przyjaciół.

— Niedługo utrzymała się nasza tajemnica! — zdawały się mówić jej oczy.

Pytanie Maucry przemilczała i zaczęła o czym innym opowiadać.

Pogroził jej palecm.

— Dziecka, dziecka! — mruknął. — Zastużyli byście kija a ji przy niedzieli.

Widzieli jednak, że to tylko pogróżki, bo ojciec był pobłażliwy na ich rozmaite wybryki. Prędzej matka bąknęła którejś z nich, ale teraz widocznie spała mocno, bo nawet nie poruszyła się mimo głośnej sprzeczki Jurka z Pawłem.

Ewa podeszła do kąta koło pieca zaciekawiona, o co im chodzi.

— Podziewej sie, Jewus, jaki tyń Paweł je! Obiecoł mi zrobić we fabryce klanre, a teraz mi ji nie chce dać — skarżył się Jurek załośnie. — Paweł, dej mi ją! — zwrócił się w stronę brata.

— A bedziesz mi chodził na tabake? — pytał tamten.

— Bedym, bedym — przyrzekał skwapliwie Jurek.

— Tu mosz, a pamiętej se coś obiecoł — Pa-

ny paplaniną siostry i dodał, jakby na swoje usprawiedliwienie:

— No, no, nie ja jedyn. Byłech dzisiaj rano z Francym od Raszki i tyś powiedział mi, że musiał iść spać bez wieszery, bo krowa jego nie była nie napasiono, a jego mama znalazła mu w kapsie szyszki i zaraz się domyśliła, że się z kimsika bił.

W izbie zastali Zuzkę i Pawła, starsze rodzeństwo Jurka i Hanki. Przygotowywali się do wyjścia — prawdopodobnie na jakąś zabawę, bo Paweł, który przed chwilą przyszedł z fabryki, szorował się zawzięcie nad szaflikiem z wodą i od czasu do czasu przyskał na Zuzkę, wplatającą w warkocz barwną wstążkę.

Piszczala cieniutko, a potem z trwogą patrzyła, czy nie zbudzi matki, śpiącej na wysoko zastanym pasiastymi pierzynami łóżku.

— Poczkej, ty jeszcze dzisiaj ode mnie obrwiesz! — groziła mu żartobliwie.

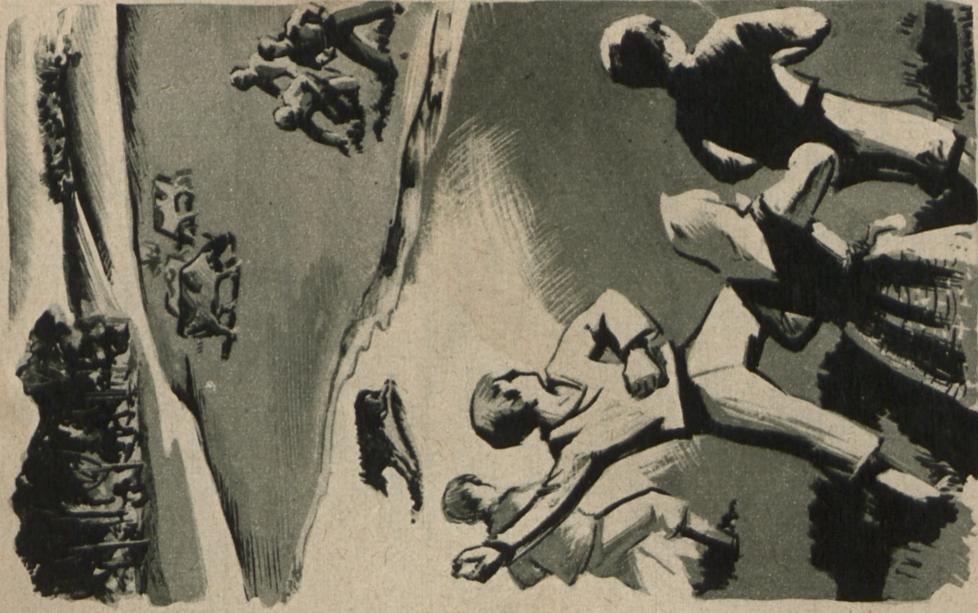
— Spróbuj! — i nabrał w garść wody, aby ją jeszcze raz pokropić.

Zuzka uskoczyła w bok i... dostało się wchodzącej Ewie.

— No, by cie tak jyny mama widzieli — ujął się Jurek za przypadkowo uszkodzoną Jewką.

— Ale, dyć Jewuś mi to zaś jakosika przeboczy — zwrócił się Paweł do dziewczynki.

Kiwnęła mu tylko z uśmiechem głową i poszła do ojca Macury, który siedział na ławie pod oknem i czytał gazetę. Przywitała się z nim.



przyjść wtedy, kiedy go najmniej potrzeba. Nie mieli już też ochoty ani sił, żeby rozpocząć walkę na nowo. Opatrywali tylko swoje szkody i nad potokiem obmywali sińce, zadrapania i kurtz.

Nie śpieszyło im się też wieczorem do domu, tylko przeczekali, aż zmrok dobrze zapadnie i zakryje przed oczyma ciekawych rozmaite uszkodki w ubraniach.

ROZDZIAŁ II.

W zagrodzie starego Macury.

Na drugi dzień, była to niedziela, Ewa zbudziła się z silnym bólem w kolanie. Zaciiskając zęby chodzila po pokoju — obawiała się gniewu ojca, gdyby dowiedział się o bóje z Kuligami.

Miała ochotę wybiec do Jura i Hanki i wyprawywała ich na łące pod lasem. Nie było ich tam. Nie widziała ich również na żadnej miedzy. Może krowy puścili do „zogrady“*), a sami siedzą w chałupie, przypuszczają. I patrzyła już teraz w stronę domu Macurów, czy ktoś stanął nie wybiegnie i nie przyjdzie do niej.

Właściwie jednak to jej patrzanie było tylko takie na niby, bo dobrze wiedziała, że i tam również czekano na nią i że nie oni do niej, ale ona do nich pójdzie. A to dlatego, że Jurek i Hanka czuli się w jej domu jakos omieszczeni, jakby krępowały

ich jasne, duże pokoje. I żadna zabawa wkrutek tego nie udawała się. Dopiero tam w izbie o niskim, belkowanym pułapie, wybielonej wapnem i nakrapianej w niebieskie planki, wszystko szło jak z płatka.

Docekała więc Ewa popołudnia, a później chyłkiem, aby jej nikt nie widział i nie zatrzymał, z narzuconą chustką na głowę, pokuszyła do Macurów.

Tam musieli już ją zobaczyć, bo kiedy otwierała furtkę od zagrody, Hanka i Jurek stali przed progiem chałupy.

— Jewuś, doma wiedzą o tym, że wczora była bijatyka pod lasem? — były pierwsze słowa Hanki.

— Chcieli my tam przyjść do ciebie, ale my sie boli, że twój tata wiedzą już o wszystkim i będą na nas krzyczeli — usprawiedliwiał się Jurek.

— Nikt jeszcze nie wie. Żeby tylko gojny nie przyszedł na skargę, to wszystko będzie dobre — odpowiedziała Ewa. — Ale wiecie co, jest gorzka rzecz, bo mi całe kolano spuchło i boli mnie bardzo! — ciągnęła dalej rada, że może się poskarżyć. W sieni nastąpiły oględziny kolana Ewy i współczujące kiwania głową.

— Zbojce! — mruknął Jurek w stronę nieprzyjaciół.

— Wiesz co? Jurek zaroz z rana oberwał od mamy bąckę, bo miał strasznie starganą koszulę — nie omieszkała Hanka opowiedzieć Ewie.

Bohater wczorajszego dnia był trochę zmieszany.

*) Ogrod.



PARK MIEJSKI W SAN-FRANCISKO

dzo o ciebie niespokojny. Gdzieżeś przepadał?

Chłopak w kilku słowach opowiedział przyjacielowi o nowej znajomości i o porcie, który zwiedzili razem z Szymkiem Wawrzyńczakiem.

Jimmy wprowadził Wojtka do salonu i przedstawił go ciotce, która po śmierci matki wychowywała go. Starsza już pani uważnie przyjrzała się spokojnej i poważnej twarzy chłopca, o którym wiedziała już wszystko od Jimmiego, pana Starcka i profesora Hodges. Podobał jej się widocznie Wojtek, bo uśmiechnęła się dość przyjaźnie i dłużej zatrzymała jego rękę w swej dłoni mówiąc:

— Bardzo mi miło poznać pana, mister Budzisz, gdyż cudów mi naopowiadano o panu.

Wojtek czuł się zażenowany słowami staruszki i nieznanym mu otoczeniem. W bogatym salonie, pełnym obrazów, rzeźb i drogich cacek, siedziało kilku panów w wieczorowych strojach, a wśród nich uśmiechnięty profesor Hodges.

Po chwili wszedł pan Starck i ogarnawszy chłopca ramieniem powiedział:

— Radziliśmy tu o twoim losie, mały przyjacielu, i doszliśmy do przekonania, że nie ma żadnego sensu pozostawiać cię na statku. Zamieszkas u nas i razem z Jimmy będziecie się uczyć. Maturę można zdobyć równie dobrze w Stanach, bo matura — to matura...

Wojtek zarumienił się po uszy i potrząsnął głową.

— Dziękuję panu, ale za tę dobroć muszę odpłacić swoją pracą — odpowiedział.

— Czy słyszałeś cośkolwiek o stypendiach? — spytał nagle mister Starck. — Słyszałeś? No, więc wyrobiłem już dla ciebie stypendium. Nie potrzebujesz teraz zarabiać, musisz się uczyć. Najprędzej ci z tem pójdzie pod kierunkiem profesora Hodges. Nie odmawiaj nam tego, bo skrzywdziłbyś nas bardzo. Zamieszkas u nas...

— Ja muszę mieszkać z Wawrzyńczakiem, bo lubię go i zawdzięczam mu

wszystko... nawet znajomość z państwem...

— Ach, ten pucełowaty kuk od polewki z fasolą?! — zaśmiał się mister Starck. — Przecież on zamierza być szyprem? Umieszczę go w naszej szkole, która kształci młodych ludzi na oficerów marynarki handlowej. Nasza kompania ma własną szkołę, gdyż potrzebuje ludzi pewnych. Twój przyjaciel będzie mieszkał w internacie razem z innymi uczniami. No — to już skończmy wrzeszcze z tą sprawą!

Przycisnął chłopaka do siebie i zajrawszy mu w oczy powtórzył:

— Skończmy raz na zawsze!

Jimmy widząc, że Wojtek milczy i stoi wzruszony, podbiegł do niego i zaczął potrząsać mu ręce wołając:

— Będziemy się razem uczyć i podróżować, a potem...

Podniósł twarz wyżej i szepnął:

— Pamiętaj, o czym mówiliśmy na „Elizie”?

Wojtek uśmiechnął się i odpowiedział mu mocnym uściskiem dłoni.

e. d. n.

F. A. Ossendowski



Pamiętasz, jak szumiały indyjskie pióra Winnetou?
Jak Steel z „Królewskiej konnej” przebiegał przez Kanadę,
i jak pędził szlakiem London, niemal wyzbyty tchu,
i jak huczały wody w spienionym Colorado?
Jak ongiś szedł przez prerie pionierów prosty lud,
jak twarde ręce rwały, szarpały drzewa z ziemi,
i dym, co się na niebie ogromnym koszem plół,
i mocne słowo ludzi, uparte słowo: „Chcemy”?
Wykarczowali lasy, kamienne wzniesli miasta,
wyprostowali rzeki, wstawili w nie turbiny,
i wszystko to, co mają, to jest ich praca własna,
i wolny jest pęk gwiazd, co na sztandarze płynie.
Walał potworne młoty w dno oszalałych wód,
największy grzmot na świecie wydaje pierś Niagary,
wody spadają w dół, a jakby stały — cud! —
nie można nic powiedzieć i nic nie słyszać — czary! —
Potem jedziesz koleją przez wielki, wielki step,
parowóz goni wiatr, a słońce znika w pyle —
i już ogromne góry podnoszą skalny łeb,
by bieć tuż przy pociągu przez długie, długie mile.
Miasto nad oceanem. Domy jak skalne góry,
prawie pół setki pięter wznosi się nad twą głową —
i statua Wolności, co trzyma rękę w chmurach,
to przecież Nowy Jork — dalekie, obce słowo.
To przecież Ameryka — Kościuszko i Pułaski,
walki o wolność z Anglią, walka o równe prawa,
to też łopocą dumnie swobodne, srebrne gwiazdy,
i dziś fabryki tętnią, gdzie wrzała walka krwawa.



PRZYGODACH I GRASZKACH WESOŁEGO PATAŁASZKA

Rozmaicie jest na świecie,
tutaj upał, a tam chłód.
Może ze mną dziś pomkniecie
w świat, gdzie śniegi, mróz i lód.
Lśnią na niebie dziwne zorze,
szumi wielkie, srogie morze.
Jak chcesz widzieć różne cuda,
razem z Fipciem tam się udaj!
Ale przedtem
wedle mody
futro, bracie,
weź na chłody.
Fipcio tak uczynił i
w świat daleki mknie, aż grzmi.
Pyszne było to jechanie —
oto psy, a oto sanie.
Psy szozekają, świeci śnieg —
to ci jazda, to ci bieg!
Czasem Fipcio staje w biegu,
gdy zobaczy chatkę z śniegu.
A z tej chatki Eskimoski
wystawiają płaskie noski.
— Kto to jedzie taki rad?
— Patałaszek, mały chwata!
Aż tu widać morze sine.
Aż strach spojrzeć na głębiny,
poprzez dzikie te odmęty
nie mkną statki ni okręty,
tylko płyną góry lodu
wielkie z tyłu, wielkie z przodu.
Kra o krę się łamie z trzaskiem,
lody świecą dziwnym blaskiem.
Mówi Fipcio, mały chwata:
— To dopiero dziwny świat!
A nad brzegiem, jak chcesz wiedzieć,
siedzą w krąg białe niedźwiedzie.
Białe niedźwiedzie polarne,
co mają nosy czarne
i królewskie miny
i władają wśród lodowej krainy.
Wśród nich Fipcio śmiało staje,
piękny ukłon im oddaje.

— Witam was, białe niedźwiedzie,
jakże wam się tutaj wiedzie?
Spojrzał niedźwiedź
na sąsiada.
— Kiedyś przyszedł —
no, to siadaj!
Właśnie mamy dziś wesele,
zaprosiliśmy kapełę,
jest wieloryb, foki też —
razem z nami lodów zjesz.
To pan młody,
a to żona,
świeżo właśnie
poślubiona.
Panna młoda — cud urody —
śmietankowe jadła lody,
a mąż — chuda jakaś sztuka —
zwierciadełka dla niej szukał.
Lecz biedaczek był niezgara —
szukał, szukał i nie znalazł.





Więc jej z gniewu drgnęła łapka
i na futro spadła kapka.
— Ach, ach! Plamy, ach nieładne!
Z wstydu w ziemię się zapadnę!
Nowe futro! Piękny włos!
Nieszczęśliwy jest mój los!
Mężu, mężu,
łaskaw bądź,
na krę jaką
zaraz siądz,
jedź na morze, tu i tam,
maść na plamę przywieź sam:
A jak wrócisz tu bez maści —
nie chcę wcale znać ja waści!
Przysiadł z strachu miś niebożę,
patrzy w żonę i na morze.
— Żono, krewni — proszę was —
ja mam katar — psi dziś czas —
reumatyzm także mam —
boję się wędrować sam.
No i była heca cała.
Zona z gniewu aż zemdlała.
— Mężu, mężu, widzę już,
żeś jest tchórz.
Taka hańba! Taki wstyd!
To już nieszczęście moich szczyt.
A zaś krewni chórem na to
ozwali się z aprobatą:
— Niedołęga jest w rodzinie!
Nasza kara cię nie minie.
Na krę siadaj,
nic nie gadaj,
albo — jesteś tchórz —

nie znamy cię już!
Otworzyli straszne gęby,
pokazali żółte zęby.
Zadrżał misio
nie bez racji
w przykrej będąc
sytuacji.
Idzie, łapami przebiera,
ukradkiem łzy ociera.
Z Patałaszką, jak to wiecie,
strasznie czułe było dziecię,
więc zapłakał nawet w głos
i rzekł ucierając nos:
— O, niedźwiedziu
łapę daj.
Pojedziemy
oto dwaj.
Chociaż burzy się to morze,
lecz nie lękaj się niebożę.
Chodź, misiuniu, chodź sierotko,
maść znajdziemy, moje złotko.
Na krę wsiedli i już płyną
morzem dzikim i głębiną.
Tu lodowe widzą góry
(bardzo pięknej są struktury),
tam znów foki płyną stadem,
w wodzie ryby łapią rade.
Kra po falach wolno idzie —
i płynęli cały tydzień.
Aż pod brzegiem zatoki
zobaczyli głowę foki,
co miała białe oko.





— Foko, foko,
co masz białe oko,
daj-że nam dziś, nie jutro,
maść na niedźwiedzie futro.
Dobra była, więc dała
i zapłaty nie żądała.
I znów kra po wodach idzie —
do domu wracają tydzień.
Misio w świetnym humorze
spieszy, spieszy jak może.
Miła była to godzina,
gdy witała go rodzina.
Krewni rzekli sapiąc tego:
— No, nie jesteś niedołągą!
A zaś żona — cud urody —
niesie mu już słodkie lody.
Ale misio lodów nie je,
do Fipusia w głos się śmieje:
— Miły Fipeciu, w środku siadaj,
smaczne lody smacznie zjadaj,
baw się z nami na weselu,
Patałaszku przyjacielu!

c. d. n.

Anna Świrszczyńska



VIII. NARODZINY OKRĘTU

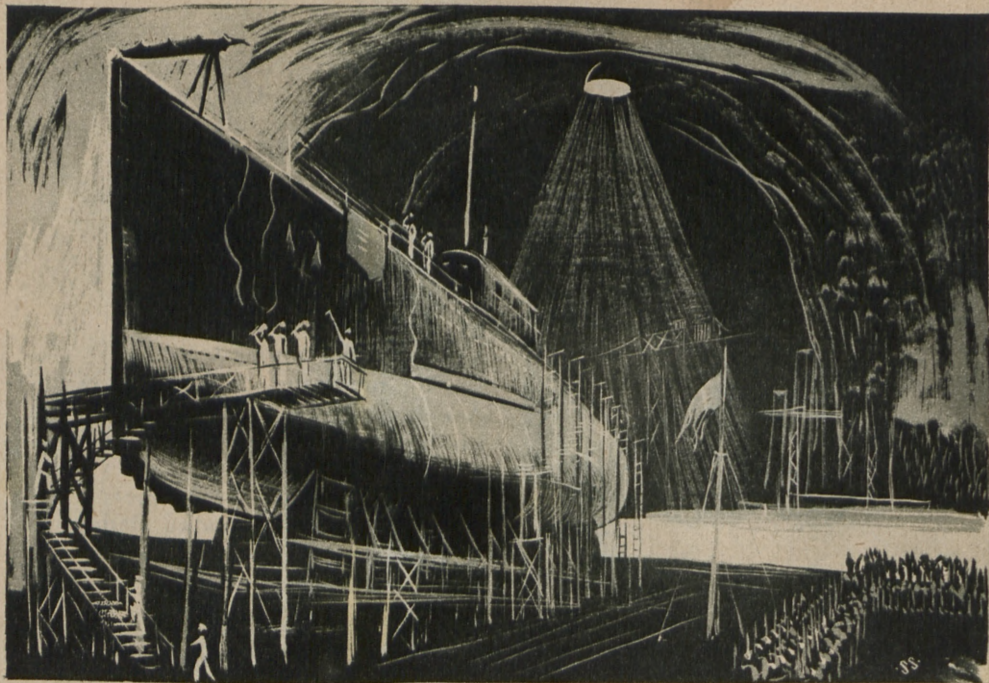
Więc najprzód nie było nic, tylko goła pochylnia, jedną stroną swych szyn tkwiąca w wodzie. A potem na pochylni tej zaczęto ostrożnie montować stępkę, czyli długą metalową belkę, biegnącą od dziobu do rufy okrętu. Po kilku tygodniach zaczęły ze stępki hokiem wyrastać wręgi i piąć się w górę z obu stron półokrągło; jednocześnie wręgi te łączono między sobą arkuszami mocnej blachy budując właściwy kadłub.

Ze zaś to o łodzi podwodne chodziło, więc wręgi zatoczyły całe koło tworząc jakby szkielet długiego na 120 metrów kotła o średnicy sześciometrowej. Elektryczne samospawacze pozlepiały z sobą wokół szkieletu blachy kadłuba. Z boków tego kadłuba wyrósł też na wręgach drugi, szerszy, średnicy ośmiometrowej, a więc całkowicie ten pierw-

szy obejmujący, ale za to z cieńszej blachy wykonany, a mający służyć za zbiorniki balastowe. Potem w górze ułożono pokład opatrując go potrzebną liczbą włazów. Nad jednym z większych środkowych otworów ustawiono wieżyczkę, czyli kiosk dowódcy.

Jeszcze zanim blachy olbrzymiego kotła zamknęły się wokoło szkieletu, wstawiono do środka przy pomocy potężnych elektrycznych żurawi — dwa wielkie silniki spalinowe i dwie prądnice, a także potrzebną ilość mechanizmów pomocniczych: pomp, sprzężarek powietrznych, silników mniejszych, destylatorów, wentylatorów, wind kotwicznych, akumulatorów i tak dalej.

Inżynier Malinowski pracował przy tym skwapliwie, nie tylko kierując robotami, ale osobiście sprawdzając wszystkie delikatne części, przeglądając rysun-



ki i obliczenia, wykonane przez swego poprzednika. W świetle zielonych lamp praca szła rażno naprzód. Energii dostarczały nieznanymi gazami wulkanu napędzane turbiny, poruszające z kolei prądnice elektrowni. Wody, bo prócz deszczowej, ściekającej do grotty otworami i skrętnie w cysterny zbieranej, wyspa innej nie posiadała, dostarczały wielkie destylatory podziemne.

Z wielkich magazynów zwożono na wózkach przygotowane od dawna części i przyrządy. Co pewien zaś czas Fernando i Garcia oddalali się na przeciąg kilku dni, poczem magazyny zapełniały się różnymi przedmiotami wyposażenia okrętowego, wprawdzie już niewielkich rozmiarów, ale za to bardzo wielkiego znaczenia.

— Wyruszają na Rapa-nui — mówiono wówczas tajemniczo.

— A nie dadzą się czasem złapać? — troszczył się zupełnie poważnie inżynier.

— Niema obawy. „Huascar” to dobry nurek, skryje się i na sto metrów, gdy potrzeba. W dzień spoczywa w podwodnym porcie na łożu z koralu i piasku, a tylko w nocy oddycha na powierzchni.

— I cóż on przywozi?

— Wszystko co nam do wykończenia okrętów potrzebne. A przede wszystkim wieści ze świata. I raporty z pracy tych braci, którzy na lądzie przygotowują zwycięstwo.

A tymczasem inne zwycięstwo — zwycięstwo pracy rąk ludzkich — stało się udziałem tej garstki w podziemiach Sala Y Gomez zamkniętej.

W wielkiej, zielonem światłem zalanej grocie, będącej jakby naturalną, przez jakichś olbrzymów w ziemi wykutą halą fabryczną, odbywała się tego dnia podniosła uroczystość. Około trzydziestu ludzi, jednolicie w marynarskie czapki i kurtki z wyhaftowanymi na piersiach złotymi krzyżami odzianych, ustawiło się w czworobok. Po środku tego czworoboku stanęło dwóch oficerów z obnażonymi szpadami, trębacz i chorąży, trzymający w rękę sztandar. Zielone światło grało na haftach tego sztandaru, ozdobionego również złotym krzyżem na czarnym tle z napisem: *Wszyscy ludzie wolni są braćmi.*

— Taki sam napis legioniści Dąbrowskiego nosili na swych epoletach w Italii — pomyślał sobie stojący w pierwszym szeregu inżynier Malinowski.

Przez 150 lat świat się nie zmienił i ludzie ciągle dążą do tych samych ideałów, do wolności, równości, braterstwa. Ale w praktyce jest to bardzo trudne do osiągnięcia, bo aby ideał urzeczywistnić, trzeba prawdziwie i głęboko wierzyć w Boga, być uczciwym do gruntu, miłującym bliźniego więcej niż siebie, trzeba umieć nie tylko samemu sięgać po szczęście, sławę, dobrobyt, ale i sąsiadowi dopomóc, podzielić się z nim, jeśli trzeba, ostatnim kęsem czy odzieniem, zaś przede wszystkim kochać ojczyznę i służyć jej wiernie, a nie tylko własne dobro mieć na względzie. Dlatego to piękne hasła i czyny nie zawsze dają się wykonać, bo przeszkadzają temu źli, nikczemni, słabi albo samolubni ludzie...

Tok tych rozmyślań przerwał sygnał trąbki.

— Bacność! Prezentuj broń!

Błysk szabel w zielonkawym świetle grotu. Chrząst sprezentowanych karabinów zbrojnej kompanii. Gromkie kłasnienie rąk o lędźwie pozostałych nieuzbrojonych drużyn.

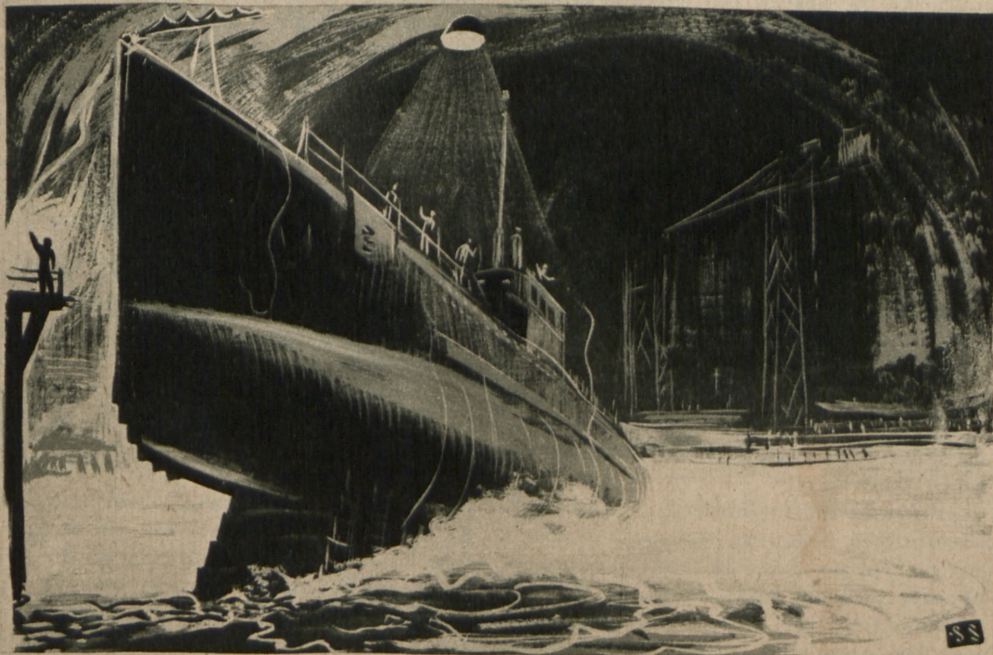
W krąg oświetlony silniejszym światłem wchodzi Wódz. Ma na sobie taki sam prosty marynarski strój, jak jego

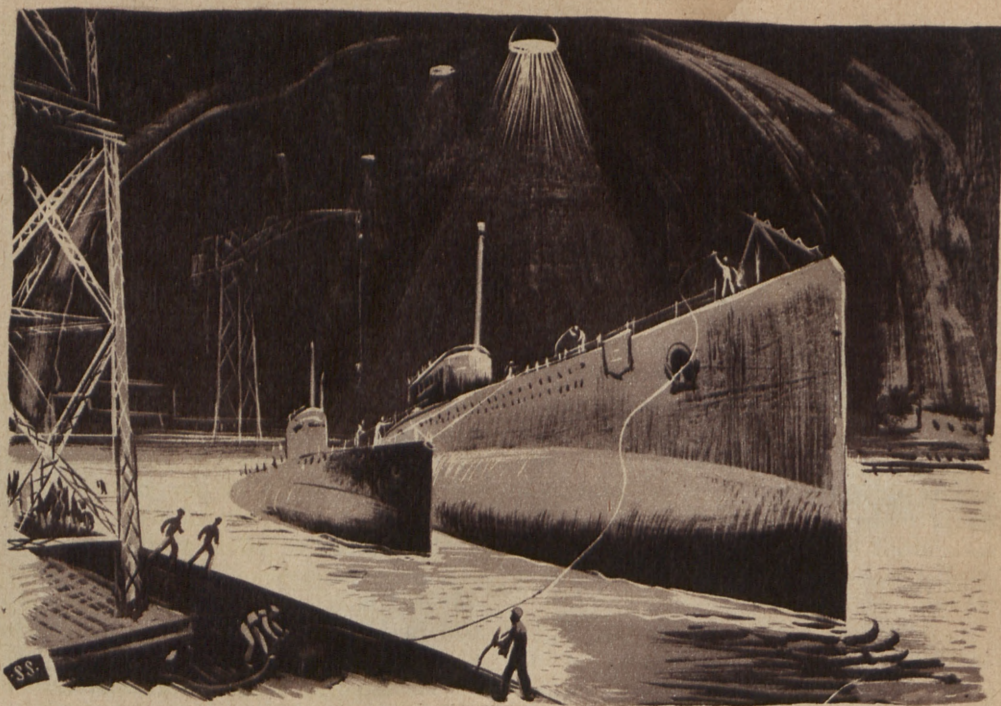
ludzie, taki sam złoty krzyż wyhaftowany na piersiach. Tylko galony komandorskie świecą mu na rękawach i czapka ma na daszku znaczek dowódcy. Trzech zaufanych — w ich leźbie kapitan Fernando — idzie za nim.

Wódz dochodzi do środka czworoboku, staje, salutuje sztandarowi i daje znak. Stuknęły o skalną powalę kolby karabinów, odprężyły się postacie. Odział stanął na „spocznij”.

— Wszyscy ludzie wolni są braćmi — zaczyna Wódz i Komandor melodyjnym, donośnym, a wzruszeniem nabrzmiąłym głosem. — Wypisaliśmy to na naszym sztandarze i przysięgliśmy wytrwać w pracy aż do chwili kiedy wszystkie ludy Południowej Ameryki zjednoczą się w jedno wielkie, potężne i bogate mocarstwo. Dzisiaj, po żmudnych latach tej pracy, wybija pierwsza godzina czynu — dziękuję wam przeto bracia...

To mówiąc Wódz podchodzi do rusztowania wzniesionego przed dziobem pierwszego krążownika podwodnego. Powoli wchodzi na schody nie oglądając się na najbliższych towarzyszy. Stojąc na platformie robotnik podaje mu srebrną siekierkę.





— Oto siekierka — woła Komandor Bractwa unosząc lśniący przedmiot i pokazując go zebrany — siekierka, którą cesarz peruwiański Antahualpa zwykł był posługiwać się w pracy. Ja — siekierką tą przecinam wstęgę, łączącą z łodem pierwszy, własnymi siłami Bractwa zbudowany okręt... Niechże okręt ten idzie do żywiołu, któremu ma służyć, niech spłynie ku chwale Boga Wszehmogącego, ku potędze Południowej Ameryki, a ku pożytkowi ludzkości... Niech się nazywa „Libertad”, co w języku hiszpańskim oznacza — wolność...

Tu błyskawicznym ruchem siekierki Wódz przeciął czarno-złotą wstążkę. I jakby ta wstążka naprawdę okręt trzymała, nie zaś liczne hamulce i podpory, — wielka metalowa masa kadłuba drgnęła i z początku powoli, potem coraz prędzej zsuwać po szynach się zaczęła.

Bo właśnie majstrowie w dole odkręcili owe hamulce, wprawili w ruch sprężonym powietrzem działające popychacze, podczas gdy robotnicy usunęli ostatnie podpory... Zagrała trąbka, rozległ się ponownie chrzęst prezentowa-

nej broni. Jeden wielki okrzyk radości odbił się echem o skalne sklepienie.

— Szszszszsz! — z sykiem i szumem zanurzyła się rufa „Libertad” w ciemnej toni podziemnego jeziora, aż wypłynęły w górę tym bielsze bryzgi piany. Zdawało się przez chwilę, że nic powstrzymać nie zdoła pędu, który z ledwo dostrzegalnego drgania u szczytu pochylni przeobraził się w dole w tempo pośpiesznego pociągu. Czyżby „Libertad” w chwilę po narodzeniu miała rozbić się o skały przeciwległego brzegu?... Mimowolny dreszcz przechodzi zebranych...

Nie! Bo oto zaczynają pracować rozpostarte na drodze rozpedzonej masy łańcuchy i kable. Rufa okrętu spycha je coraz dalej, dziób wlecze je z obu stron... Ale pęd jest zahamowany. Niebawem „Libertad” kołysze się spokojnie po środku sfalowanej jeszcze tafli wód.

A wówczas od brzegu odbija maleńka łódź podwodna, ta sama, która przywiozła inżyniera Malinowskiego do groty. I jakby nigdy nie przytula się do boku krążownika, zarzuca cumy, puszcza w ruch swój motor, aż wreszcie

potulnego już zupełnie olbrzymia holuje do nadbrzeża, akurat pod wielki żóraw portowy. Zupełnie tak, jak mały ale rączy piesek ciągnie na smyczy znacznie silniejszą, choć ociężałą i powolną panią.

— No, — mówi zacierając ręce naczelnym inżynier Garcia. — Uporaliśmy się z jednym. Za miesiąc spłynie drugi.

A tymczasem będziemy ten wykańczali pod żurawiem. Jutro zaczniemy ustawić uzbrojenie i sprzęt radiowy... Za trzy miesiące musimy być gotowi...

— Będziemy! — wołają chórem zebrani robotnicy. — Cześć Wodzowi!

— Cześć waszej pracy! — odpowiada spokojnie Antonio Gomez — Wódz i Komandor Bractwa Żółtego Krzyża.

e. d. n.

Jim Poker



„To nie ja — tylko on pierwszy zaczął!...” — tak się zawsze zaczyna odpowiedź na pytanie: „Czy to ty zrobiłeś?” Historię takiego „To nie ja zrobiłem” usłyszycie w audycji Zofii Charzewskiej w środę, 2 grudnia o godz. 11 min. 30. Niby to będzie dla młodszych, ale przecież i starszym takie: „To nie ja!...” się zdarza. Teraz zgadnijcie, co będzie w środę po południu o godz. 16 min. 10? „Zagadki muzyczne”. Ze Lwowa. I to już dla dorosłych dzieci.

We czwartek rano o godz. 11 min. 30 radiowy koncert szkolny, a po południu o godz. 16 min. 20 — „Hokus, pokus Dominikus”. Jerzy Gerżabek z Poznania „Zaprasza na czarodziejską zakąskę”.

Potem jest piątek. I tego właśnie dnia 4 grudnia o godz. 11 min. 30 będzie piękne słuchowisko Ewy Szelburg-Zarembiny „Wszyscy razem”. Jak wszy-

scy, to wszyscy, jak razem, to razem. Słuchamy. Trzeba tu dodać, że wiele i to bardzo wiele z tych słuchowisk reżyseruje Mamusia Radiowa, Wanda Tatarkiewicz. Piękna to praca, ale trudna.

A otóż i — sobota. Rano o godz. 11 min. 30 — „Śpiewamy piosenki”, a po południu o godz. 14 min. 30, jako że to w przeddzień imienin św. Mikołaja, więc będzie słuchowisko i ładne słuchowisko Benedykta Hertza i Wandy Tatarkiewicz „Idzie święty Mikołaj” z piękną muzyką Władysława Macury.

W poniedziałek, 7 grudnia o godz. 11 min. 30 — „Z pięknych książek”. Usłyszycie utwory pisarza o wielkim i dobrym sercu — Bolesława Prusa, w opracowaniu Janiny Kulczyckiej. Po południu o godz. 15 min. 55 — „Wszystkiego po trochu”. Przez dwadzieścia minut. A we wtorek — święto.

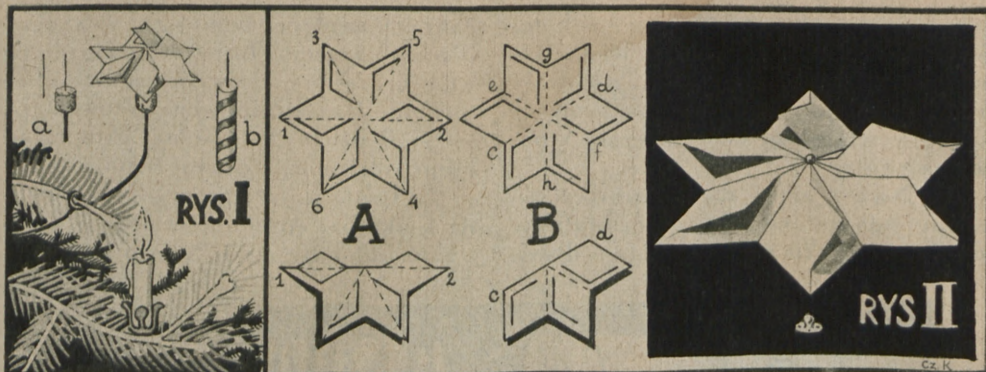


WIRUJĄCA GWIAZDA NA CHOINKĘ

Bardzo ciekawą ozdobą na choinkę jest gwiazda obracająca się od działania ciepłego powietrza, które idzie od świecy ku górze. Sposób jej wykonania podajemy poniżej.

Na kawałku tekturki lub kartonu narysujemy koło o promieniu 6 cm, tym samym promieniem podzielimy je na 6 części i narysujemy sześcioramienną gwiazdę (rys. A).

Wycinamy gwiazdę, przecinamy w



niej szpary, zaznaczone na tymże rysunku, i nacinamy lekko kierunki 1 — 2 (rys. A u dołu), 3 — 4, wreszcie 5 — 6. Według tych kierunków załamujemy gwiazdę.

Potem obracamy gwiazdę na drugą stronę, nacinamy kierunki *cd*, *ef* i *gh* i załamujemy gwiazdę wzdłuż tych kierunków (rys. B).

Otrzymamy gwiazdę wypukłą (rys. II).

W środku jej umocowujemy zwykły zatrząsk używany do ubrań.

Jeżeli teraz gwiazdę umieścimy na

igle lub ostrzu szpilki, wówczas będzie się ona obracała od najbliższego powiewu idącego z dołu.

Iglę trzeba wetknąć w korek, potem korek nasadzić na koniec drutu, a drut owinąć dookoła dwóch lub trzech gałązek choinki. Lub inaczej: umocować igłę w okrągłym patyczku, ozdobionym taśmą papierową (rys. I, b) po czym patyczek umieścić w lichtarzyku.

Jeżeli pod tym urządzeniem znajdzie się zapalona świeczka, wówczas gwiazda będzie się obracać. Gwiazdę można ozdobić wycinanką. Cz. Kaczmarczyk



tp

Podlasie było zamieszkałe przed wiekami przez wędrownie plemię Jadźwingów, których Bolesław Wstydlivy i Leszek Czarny wyparli na pojezierze północne.

Polacy kolonizują Podlasie w w. XIV i XV. Najchętniej osiadała tam mazowiecka i kujawska szlachta zaściankowa.

W związku z kolonizacją stało się Podlasie przedmiotem sporów między Księstwem Mazowieckim a Litwą.

W r. 1379 Krzyżacy spustoszyli całe Podlasie.

Podlasie przyłączono do Korony w 1569 r.

W drugiej połowie XIX wieku Podlasie staje się terenem zaciekłych prze-

śladowań przez Rosjan ludności emickiej.

W Knyszynie zmarł król Zygmunt August. Drohiczyn był niegdyś stolicą księstwa udzielnego. Dziś jest małą miejsciną. W Tykocinie urodził się hetman Stefan Czarniecki. Pod Łukowem zadał Bolesław Wstydlivy klęskę Jadźwingom.

Największym miastem Podlasia jest Białystok, ośrodek przemysłu suknienniczego. Liczy on obecnie przeszło 90.000 mieszkańców.

W Białymstoku — zwanym niegdyś „Wersalem podlaskim” — odbywały się często przyjęcia monarchów, przejeżdżających przez Polskę.

W ostatnich latach powstała w Białymstoku cała dzielnica urzędnicza, składająca się z małych domków jednorodzinnych.

Kościół parafialny w Węgrowie posiada wiele ciekawych starych obrazów, a nadto zawieszono jest tam nad zakrystią czarodziejskie lustro metalowe, w którym, według podania, słynny czaroksiążnik pan Twardowski wywoływał duchy.

Przez Podlasie biegnie szeroki pas torfowisk.

Obwód Puszczy Białowieskiej miał przed kilkadziesiąt laty 170 km, przy czym najmniejsza jej szerokość wynosiła 42 km. Dziś Białowieski rezerwat ma 4.595 hektarów powierzchni.

Z 16.000 sztuk zwierzyny naliczonej w Puszczy w 1914 r. pozostało po wojnie światowej zaledwie kilkadziesiąt sztuk przy zupełnej zagładzie żubra. Tego spustoszenia dokonały wojska niemieckie, które zniszczyły też drzewostan.

Podlasie ma najlepiej z ziem dawnego zaboru rosyjskiego rozwiniętą sieć kolei żelaznych.

Piękną powieść z życia Podlasiian p. t. „Dola i niedola” napisał I. Kraśzewski.

Chłopi podlascy są bardzo rzutcy, pracowici i inteligentni. Przy tym odznaczają się muzykalnością i zrozumieniem piękna natury.

—o—

Ameryka Północna jest dwa razy większa od Europy i dwa razy mniejsza od Azji.

Najwyższą górą Ameryki Północnej jest Mac Kinley, wysokości 6.180 m n. p. m.

Amerykę Północną dzieli w jednym miejscu od Azji zaledwie 89 km morza.

Szerokość Kordylierów dochodzi do 1.700 km.

Rzeka Kolorado płynie wąskim jarem głębokim na 1800 m.

Największa rzeka Ameryki Północnej Missisipi ma 7000 km długości.

Wodospady rzeki Niagary są 49 m wysokie. Cofają się one rocznie o 82 — 137 cm.

Wskutek tego, że Ameryka Północna jest wystawiona na wiatry z Oceanu Lodowatego, zdarza się tam w zimie, że temperatura w ciągu doby spada z + 10° do — 34° C.

Bizony zostały wytępione w Ameryce Północnej jeszcze przed 50 laty. Obecnie żyje ich jeszcze w rezerwacie 2.000.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej na 1 km² przypada 14 mieszkańców.

Pierwotni mieszkańcy Ameryki czerwonoskórzy Indianie przywędrowali prawdopodobnie kiedyś z Azji. Biali przybysze wytępił ich do tego stopnia, że obecnie pozostało ich w Ameryce Północnej zaledwie 330.000. Żyją oni przeważnie w rezerwach. Wielu z nich ukończyło już szkoły amerykańskie.

W północnej i środkowej Ameryce żyje 152 miliony ludzi.

W ostatnim 50-leciu wyemigrowało do Ameryki 40 milionów ludzi.

Niewolników — murzynów zaczęto przywozić do Ameryki w 1510 r. Zniesiono niewolnictwo dopiero w 1865 r.

Murzyni próbowali utworzyć republikę murzyńską na wyspie Haiti, jednak próba ta się nie udała.

Metysi to mieszkańcy białych z Indianami, mulaci — białych i murzynów, sambo zaś — murzynów i Indian.

Na 1000 mieszkańców Ameryki przypada 190 km² ziemi, czyli 9 razy więcej niż w Europie.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej dają połowę światowej produkcji bawełny, ¼ tytoniu i najwięcej w świecie ropy naftowej, bo aż 89%.

Zwierzęta domowe przywieźli do Ameryki biali.

Po raz pierwszy odkryli Amerykę Normanowie w 986 roku.

Jedną trzecią część mieszkańców Kanady stanowią Francuzi.

Zabytki starożytnej kultury odkryto w Meksyku, Guatemali i Peru.

Urodzaje w Europie są o połowę wyższe niż w Ameryce.

Niepodległość Stanów Zjednoczonych proklamował Jerzy Waszyngton 4 lipca 1776 r.

Kościuszko i Pułaski walczyli o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

W Ameryce Północnej żyje 2.300.000 Polaków. Głównym ich siedliskiem są Chicago i Detroit.

Wielkim poetą amerykańskim był W. Whitman.

Do najbardziej znanych w Polsce pisarzy amerykańskich należy Jack London.

LISTY OD REDAKCJI

Drodzy Czytelnicy.

W listach, które otrzymałem, najważniejsze są postanowienia szkolnych dzieci, iż dzień 11 listopada uświęcą dobrymi czynami.

Więc w Michałowie, Haliczu, Kamieniu, Nowym Dworze, Kosowie i Piarszowicach obiecali moi przyjaciele dbać o czystość swoich wsi. Dzięki ich pracy piękniejsze będą te wioski, gdyż wszystko ładnie wygląda, gdy jest czyste i porządne.

W Piotrkowicach, Rychnowie i Kuźnicy starsi uczniowie wykładają kamieniami ścieżki i drogi prowadzące do szkoły. Wiele korzyści z tej dziełnej pracy będą miały dzieci, które codziennie chodzą do tych szkół.

Za nadesłane programy uroczystości urządzonej dnia 11 listopada dziękuję: Uczennicom klasy VI z Kutna, Uczniom klasy VI z Glinna i Członkom Koła Literackiego w Krakowie.

Uczniom z Łobaczewa, którzy bardzo mnie kochają, obiecuję odwzajemnić się dostarczaniem coraz ciekawszych wiadomości, by ich jak najwięcej było w Waszych główkach. Listy nadeszły 28 października.

Nowym Prenumeratorom z Krakowa (klasa V) podaję do wiadomości, iż nie mogę przynosić „samych powieści” w piśmie. Są i tacy czytelnicy, którzy interesują artykuły przyrodnicze, historyczne, zagadki, rebusy i trzeba, aby możliwie wszyscy byli zadowoleni z prenumerowanego „Płomyka”. Grubą paczkę listów dostałem od Uczniów klasy V z Komarowa. Każde z Was napisało o czym innym i dzięki temu mia-

łem możność dokładnego zapoznania się z Waszym życiem szkolnym. Miłej gromadce życzę dobrej nauki i wesołej zabawy.

Wszystkim moim czytelnikom donoszę, że w 5-cio klasowej szkole powsz. w Wojutyczach, poczta Nadyby obok Sambora, znajduje się dużo biednych dzieci, którym brak nie tylko książek i przyborów szkolnych, lecz i tego, co dziecku jest do zdrowia potrzebne (ubrania, jedzenia). Wiem, iż wielu z Was myśli o dopomożeniu innym. Jeżeli ci, którzy mogą, pospieszą z pomocą biednym dzieciom posyłając im stare obuwie, podniszczoną cieplejszą odzież, to w ten sposób polepszą ich ciężką dolę.

Moich Prenumeratorów z Dąbek (klasa IV) proszę o podanie dokładnego adresu, gdyż bez tego nie mogę ułatwić Wam nawiązania korespondencji ze szkołą w Warszawie. Za list, podyktowany przez Wasze serduszka, ślicznie dziękuję.

Dzieciom szkolnym z klasy IV z Bekieszy podaję adres polskiej szkoły w Ameryce: p. Chicago III, 2124 Webster Ave, Sistres of the Holy Family of Nazareth. A teraz uwaga! Jeżeli chcecie dostać odpowiedź od rodaków z Ameryki, nie zapomnijcie napisać im w liście dokładnego adresu. Trzeba podać pocztę i powiat.

Uczennicom klasy VII Szkoły powszechnej nr 4 w Czeladzi nie mogę podać adresu szkoły żeńskiej w Gdyni, gdyż mam tylko adresy szkół koedukacyjnych. Jeden z nich zamieszczam:

Szkoła Powszechna, Gdynia 3 — Oksywie.

NIE każdy SNADNIE to ODGADNIĘ

REBUS 1



REBUS 2



ZAGADKA 1

Do doli dodać
ryby połówkę
a masz dolę bogatszą
o niejedną złotówkę.

ZAGADKA 2

Jedna litera
nad literą drugą,
a kraj się rozciąga
szeroko i długo.

SZARADA

Pierwsza częśćka w tej szaradzie
(gdy zgadnąć masz chęć)
już ci stanie na zawadzie,
bo ma liter pięć.

Pięć ma liter dwie sylaby,
nie odgadnie umysł słaby.

Wiesz, co znaczy? Trud konieczny
wyjść, na śniegu w dzień słoneczny
stanąć i popatrzeć śmiało
jak na świecie? Wiemy:!

To już teraz drugą weźcie,
co jest na ratuszu w mieście
lub, gdzie spojrzeć, na kościele
w jasne niebo sięga śmieie.
Całość, kto nic nie opuści,
zgadnie łatwo: miasto w puszczy.

ROZWIĄZANIE z Nr 13

Rebus I — Łuck stolica Wołynia,
2 — domy bambusowe. Szarada — Krze-
mieniec. Zagadka 1 — ryż, 2 — lis,
3 — kalosz.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż)
miesięcznie zł. —.80
półrocznie „ 3.75
rocznie „ 7.50

W prenumeracie pojedynczej:
miesięcznie zł. 1.10
półrocznie „ 5.—
rocznie „ 9.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

Prenumeratę prosimy nadsyłać blankietem P. K. O. Nr. 435.

W Warszawie prenumeratę przyjmuje filia miejska „Płomyka” przy ul. Świętokrzyskiej 18,
telef. 5-22-18, od godz. 9-ej rano do 7-ej wiecz.

W Wilnie prenumeratę przyjmuje filia „Płomyka” przy ul. Wielkiej 40, telef. 21-31,
od godz. 9-ej rano do 7-ej wiecz.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

KOMITET REDAKCYJNY CZASOPISM DZIECIĘCYCH ZWIĄZKU NAUCZ. POLSKIEGO:

W. Burek, I. Huber, M. Kotarbiński, H. Ładosz, S. Machowski, F. A. Ossendowski,
E. Szymański, A. Świrszczyńska, W. Wasilewska, I. Wilska.

Kierownicy artystyczni: E. John, K. Pieniążek.

Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI

Druk. Rotograw. Dom Prasy, S. A., Warszawa



W SŁONECZNEJ KALIFORNI